

Z dzieckiem w podróży

BALI

Anna i Krzysztof Kobusowie

PRZYKŁADOWE STRONY



Spis treści

WSTĘP

OKAZJĄ DO RAJU

RASISTOWSKI PIASEK

GILI CZAS UMILI

WYSPA SZCZĘŚLIWYCH ŻÓŁWI

DEMONY W CYLINDRACH

MLECZNYM ZĘBOM WSTĘP WZBRONIONY

LENIWA LOVINA

MAŁPIE FIGLE

TANIEC DLA BOGÓW

EPILOG

GALERIA

BALI/GILI Z DZIECKIEM

Strona redakcyjna

WSTĘP

**KIEDY PARZE PODRÓŻNIKÓW RODZI SIĘ DZIECKO MOGĄ
ZROBIĆ TYLKO JEDNO...
ZABRAĆ JE ZE SOBĄ W DROGĘ!**



Klan Kobusów

Jest takie miejsce na świecie, gdzie Nowy Rok wita się milczeniem. **To Bali, indonezyjska wyspa bogów i demonów**, gdzie rytm życia wyznaczają skomplikowane wierzenia, a świat zamieszkują tysiące duchów. To dla ich rozrywki powstają wyszukane tańce i przepiękna sztuka. Dowiemy się, dlaczego bogowie żyją w wulkanach, demony noszą cylindry, a dobro nie może zwyciężyć zła. Na wyspach Gili weźmiemy udział w ceremonii wypuszczania żółwi do morza i poznamy mieszkańców koralowej rafy. Podróżując po Bali, odnajdziemy Małpi Las, świątynię, do której nie mogą wejść dzieci z

mlecznymi zębami, oraz odkryjemy tajemnice balijskich imion i miejscowych metod poskramiania żywiołowych maluchów.

Z DZIECKIEM W PODRÓŻY to seria książek pokazujących różnorodne kraje poprzez podróże z dziećmi, napisana przez rodziców (a przy okazji znanych dziennikarzy i fotografów) Annę i Krzysztofa Kobusów, na co dzień prowadzących portal www.planetakobusow.pl - dawniej (www.malypodroznik.pl)

SKLEP INTERNETOWY AUTORÓW



Namib.pl

- * pamiątki
- * zabawki
- * akcesoria
- * repelenty
- * rękodzieło
- * biżuteria

NASZE KSIĄŻKI DLA DZIECI:



Dla Ciebie
i dla domu!

SERIA EBOOKÓW "Z dzieckiem w podróży"



[Zapraszamy do naszego sklepu!](#)

OKAZJĄ DO RAJU

Los tej wyprawy przesądzony został właściwie przypadkiem.

Wiedzieliśmy, że ma być ona w listopadzie, gdy pogoda w Polsce nie rozpieszcza, wiemy też, że rodzinny budżet drogich biletów lotniczych nie wytrzyma. Od czegoż jednak Internet? Pewnego marcowego dnia zapisuję się na newslettery linii lotniczych i zaczynam uważnie studiować mapę.

Propozycji jest mnóstwo, nie miałam pojęcia, że latanie stało się tak tanie! Może Izmir za 400 zł? W dwie strony, na tydzień? A może Bombaj za 1500 zł? Cena naprawdę kusząca, tylko dziś! Caracas za 1700 zł? Rety, przecież Ameryka Południowa nie schodziła do niedawna poniżej 3000 zł, a tu taka okazja!

– Daj spokój! Wenezuela jest niebezpieczna, trzeba by się dobrze przygotować, zrobimy to przy większej trasie – temperuje moje zapędy Krzysiek.

Trudno, szukajmy dalej. Hongkong za 2400 zł? Tylko co dalej? Może Australia?

– Na cztery tygodnie? Zwariowałaś? Przecież nic nie zobaczymy, tylko będziemy latać jak durnie. – Mój mąż za nic ma argumenty, że nie musi być Australia, mogą być Filipiny albo południe Chin, albo...

No tak, z upartym mężczyzną nie ma co dyskutować, tym bardziej że sama nie jestem pewna, do jakiego stopnia Hongkong z trzy- i czterolatkiem to dobry pomysł.



...

Zaczyna się lipiec, a my wciąż nie wiemy, dokąd lecimy.

I czy w ogóle uda się nam na jakąś wyprawę wyskoczyć. Zaczynam się poważnie martwić, że jednak listopad spędzimy w domu...

– Słyszałaś najnowsze wieści? Lufa leci za tysiąc siedemset do Singu! – Nasz przyjaciel Zbyszek niebawem ma zacząć budować dom, więc póki może, też szuka okazji do wyskoczenia, nim na dobre ugrzęźnie w wełnie mineralnej, oknach i farbach.

Byłam w Singapurze kilka lat temu. Może to nie jest najbardziej przyjazne miasto do podróży z małymi dziećmi, ale jest tam linia lotnicza Air Asia, a z nimi wszędzie dalej tanio się dostaniemy.

Rzut oka na mapę: Malezja, Wietnam, Filipiny, Indonezja... Indonezja? Przecież tuż obok Singapuru jest Bali, cudowna wyspa, o której zawsze

marzyłam! Szybkie sprawdzenie cen: genialnie, Air Asia lata do Denpasar za 300 zł w obie strony!

Dzwonię do Krzyśka, który akurat jest gdzieś w Polsce na zdjęciach. – Co byś powiedział na Singapur? Tak ze dwa, trzy dni i potem Bali?

– Może być, ale nie dzwoń teraz, bo mam super światło

Entuzjizm męża bywa osłabiający. Ale skoro się zgodził...



Singapur - piękne miejsce na przesiadkę i spędzenie kilku dni

Kilka minut później jestem szczęśliwą posiadaczką czterech biletów do Singapuru i kolejnych na Bali. Od tej chwili zaczynam przygotowania do wyprawy, a przy łóżku rośnie stos artykułów do przeczytania przed wyjazdem. Marzenie jest na wyciągnięcie ręki. Choć

moją osobistą pokutą za przyjemność wyprawy jest pakowanie i pilnowanie, by zdążyć ze wszystkim przed wyjazdem.

Na przykład ze szczepieniami, bo z naszej rodziny tylko Staś jeszcze nie ma szczepienia na żółtaczkę pokarmową. Następnego dnia po zabiegu widzę, jak Michaś wyjmuje z pudełka żółte klocki, łącząc je zgrabnie.

– Jaka piękna wieża! – chwalę.

– To nie wieża, to żółtaczką Stasia – informuje rezolutnie pociecha, po czym z poważną miną dodaje: – Muszę zrobić zastrzyk misiowi.

– To miś jest chory?

– Nie, mama, żeby pojechał na wyprawę! – Zdaje się, że naszemu synkowi egzotyka już na dobre kojarzy się ze strzykawką.

Na kilka dni przed wyjazdem chłopcy przyszli z plecaczkami do kuchni.

– Mama, idziemy na wakacje! – woła szczęśliwy Staś.

A po chwili wyraźnie zaniepokojony pyta Michasia: – A gdzie są wakacje?

– Nigdzie! Tutaj!

Jak dobrze, że starszy brat wie wszystko!



Obecnie "żółte książeczki" chłopców wypełnione są szczepieniami.

Tymczasem ja mam wrażenie, że chyba wiek powoli daje mi się we znaki.

A może po prostu wyprawy z dziećmi zużywają tak wiele energii, że na nic więcej jej nie zostaje? Już od dawna nie byłam tak nieorganizowana przed wyjazdem. Nie pamiętam dat i nie jestem w stanie przypomnieć sobie godziny wylotu. A lecimy następnego dnia... Dwa dni wcześniej dostaję typowego reisefieber, czyli przedwyjazdowego rozstroju nerwowego, że nie zdążę, zapomnę, nie spakuję...

Wieczorem siedzimy przy komputerach. Michaś prosi, by się z nim pobawić. I następuje klasyczna wymiana zdań:

– Synku, nie teraz, musimy jeszcze popracować...

– A jakbyście wy byli mali i chcieli kawę, a ja bym wam powiedział, że pracuję, to co? – odpowiada wyraźnie rozżalony.



Ech! te bagaże...

Zatkało mnie.

Zdaje się, że we współczesnym świecie komputer to największy wróg dzieci, bo zabiera im rodziców, którzy schowani za monitorem odpowiadają monosylabami. A jeśli już się na chwilę oderwą, to tylko po to, by powiedzieć, że absolutnie nie, wykluczone, mowy nie ma, bo oni teraz pracują.

A przecież nawet dziecko wie, że nic nie robią, tylko tak siedzą i siedzą przed tymi komputerami. I jeszcze czasem piją kawę, a są przy tym tak zadowoleni, jakby to był najlepszy sok. Nie mam wyjścia. Zostawiam super pilną pracę na rzecz pogrania z synkiem w warcaby. Któraś redakcja będzie musiała mi wybaczyć opóźnienie w dostarczeniu tekstu. Jednakże w życiu są ważniejsze rzeczy, nieprawdaż?

RASISTOWSKI PIASEK

Raj był na wyciągnięcie dłoni.

Tak to wyglądało, gdy samolot zniżał się coraz bardziej nad oblaną szmaragdowymi wodami wyspę Bali. Proza życia dopada nas od razu po wylądowaniu. Polecany przez przyjaciół tani hotelik w Sanur zamknął podwoje jakiś czas temu, trzeba zatem szybko znaleźć coś innego. Na taksówkarza nie bardzo możemy liczyć po tym, jak zawiózł nas do luksusowego ośrodka. Za jedyne 100 dolarów oferowano nam piękny pokój, ale przy takim tempie odpływu gotówki trzeba by wkrótce zacząć nocować na dziko, co mogłoby być interesujące, ale z dwójką dzieci jakoś się do takich wyzwań nie kwapię. Niezawodny Lonely Planet kieruje nas do hotelu o obiecującej nazwie Ananda Beach Hotel. Tuż przy plaży, kameralny i w przystępnej cenie. Za 20 dolarów dostajemy dwuosobowy pokój, za dodatkowe 10 dolarów dołożą nam materac na podłogę, by dzieci też miały gdzie spać. Nareszcie namiastka domu! A skoro mamy gdzie zostawić bagaże, wyruszamy na osvajanie wyspy.



Nasz pierwszy hotel na Bali.

Wedle legendy za oddzieleniem Bali od Jawy stały czary.

A także złe zachowanie syna potężnego kapłana: nie mogąc sobie poradzić z nieposłusznym młodzieńcem, ojciec wygnał go na wschodni kraniec wyspy. By mieć pewność, że syn nie powróci do domu, narysował na piasku linię, której nie wolno mu było przekroczyć. Wołając bogów w tym miejscu ziemia się rozstała, a Bali stała się samotną wyspą... No, nie tak bardzo samotną, bo przecież byli na niej ludzie. Skąd się wzięli? Z boskiej nudy.

A było to tak: pewnego razu bogowie Batura Guru i Brahma uznali, że brak im rozrywki, postanowili więc z gliny ulepić ludzi. Gлина tworzywo nietrwałe, zatem swe dzieło musieli wypalić w piecu. Jednak nawet bogowie popełniają błędy. Pierwsi ludzie po prostu im nie wyszli. Prawdę mówiąc, budzili boską odrazę, gdyż swą białą skórą przypominali robaki. Następni też byli wybrakowani, bo zbyt się przypalili i mieli skórę czarną jak węgiel. Dopiero za trzecim razem udało im się stworzyć złotobrazowych pięknych ludzi i to właśnie ich

potomków spotykamy dziś na Bali. Wedle historyków dzisiejsi mieszkańcy wyspy to w części potomkowie dawnej hinduskiej arystokracji, która uciekła tu, gdy w XVI wieku Jawa została zdominowana przez islam. I to im zawdzięczamy unikalne duchowe bogactwo wyspy.



...

Na razie możemy dokładnie przyjrzeć się tutejszym ludziom w drodze na plażę.

Otacza nas zwarty tłum – dziś dzień wolny – kto żyw spieszy nad wodę. Razem z nimi skręcamy bulwarem i nagle chłopcy piszczą z radości! Piasek! Woda! Można się chlapać! Patrę nieco zdezorientowana. W folderach wyglądało to zupełnie inaczej: biały piasek po horyzont i pusta plaża. Ja wiem, że fotografia to sztuka kreacji, ale żeby w Photoshopie zmieniać kolor piasku? Bo tutaj mamy tłum i... czarny

GILI CZAS UMILI

Bali przytłoczyła nas duchowym dziedzictwem i ilością zabytków.

Zatem nim się zmierny z bezmiarem sacrum, postanawiamy uciec na wysepki Gili. Azyl doskonały, bo są one tak małe, że na większości map po prostu ich nie ma. Fenomenem Indonezji są tysiące (a dokładniej jakieś 17 tysięcy) takich skrawków lądu. Niepozorne punkciki na mapach stają się osobnymi światami, gdy się wreszcie do nich dotrze. Gili Trawangan, Gili Air i Gili Meno pod wpływem turystów zmieniły swój charakter. Trawangan stała się najbardziej rozrywkowa: tu można z luzakami z całego świata pić piwo, gadać o życiu, zabalować na plaży do świtu lub po zjedzeniu magicznych grzybków odpłynąć do alternatywnej rzeczywistości. Dla odmiany Gili Air jest zdecydowanie bardziej rodzinna. Spokojna i kameralna, gdzie i knajpek mniej, i ludzie są bardziej wyciszeni. Za to Gili Meno... cóż, jeśli Air jest oazą spokoju, to tu panuje letarg: na całej wyspie czeka może z dziesięć hotelików, dwie restauracyjki i to już wszystko. Idealna sceneria do ucieczki przed światem. Na razie jednak musimy tam doплыnąć.



Nasz basen. Mały, ale ze słodką wodą! Na wyspie bez... wody!

Mamy tu Montessori (albo inną modną teorię wychowawczą) w praktyce.

Kawałek białego koralu zaczepiony o sznurek to kotwica, połówka kokosa z muszelkami to łódka wypełniona skarbami, z kawałków koralowca doskonale układa się pociąg. A ile mamy wagoników? Matematyka na paluszkach idzie im coraz lepiej. Czasem dla odmiany do liczenia używamy hotelowych dzemików ze śniadania. Zabawki na basen? Proszę bardzo: patyczki od lodów pływają, dozowniki do leków strzelają wodą jak fontanny, zabrane tacie klapki to wielkie okręty, a ich crocsy to malutkie łodzie zaopatrzeniowe. Do tego jeśli damy im wiaderko i łopatkę lub maskę z fajką, to na dwie godziny dzieci mają ręce pełne roboty. Odkąd tu jesteśmy, chłopcy widzieli kreskówkę ze dwa razy: w samolocie i na lotnisku w Singapurze. Ale okazuje się, że zupełnie im tego nie brakuje. Za to do rangi niebywałej atrakcji urasta spotkanie z panem sprzedającym lody: jego skrzynka uchodzi w

oczach chłopaków za największy skarb na wyspie. Michaś zaparł się, iż musi przywieźć łupiny kokosów jako łódki do domu i jedną do kącika przyrodniczego w przedszkolu. I już się rozmarzył, że dziadek Wiesio wyhoduje w ogrodzie palmę kokosową, żeby on mógł z kolegami zbierać kokosy prosto z drzewa!



Kokos to nasz skarb.

Tymczasem pojawiła się gromadka miejscowych dzieci.

Siadają na piasku wokół Stasia i z zaciekawieniem patrzą, jak buduje babki z piasku.

– Kochanie, myślisz, że mógłbyś im pozwolić pobawić się z tobą? – zagaduję go, bo widzę w ciemnych ślepkach błysk radości: kolorowe grabki i łopatka!

Jednocześnie w błękitnych oczkach synka widzę oburzenie, że ktoś

śmie dotknąć JEGO rzeczy. Negocjacje to sztuka, którą mama dwójki dzieci musi mieć perfekcyjnie opanowaną, jeśli nie chce zbyt szybko osiwieć. Co dzień mam dziesiątki okazji do doskonalenia tej trudnej sztuki.

– Bo wiesz co, ja myślę, że ich mamusie nie mają pieniędzy, by im kupić zabawki... – podchodzę dziecięce poczucie sprawiedliwości.

Swego czasu uczestniczyłam w spotkaniu mam, na którym wywiązała się zażarta dyskusja, czy dzieci powinno się wtajemniczać w rodzinne finanse? Czy można obarczać je wiedzą, że na coś nie ma pieniędzy? Bo mogą nie udźwignąć tego ciężaru lub, nie daj Boże, poczuć się gorsze. Żyjemy jednak w świecie bezustannych pokus i sztuką jest nauczyć dzieci samoograniczenia. A także uświadomić im, że zawsze ktoś ma więcej, a ktoś mniej, przy czym rozmawianie o biedzie to zawsze trudny temat.

W błękitnych oczkach pojawia się wahanie.

– A jak mi zniszczą, to co? – nim pociecha się zgodzi, woli mieć jakieś zabezpieczenie na wypadek strat.

W końcu dochodzimy do wniosku, że tak miłe dzieci na pewno nie będą chciały niczego zniszczyć, i już po chwili słyszę, jak Stasio tłumaczy im (po polsku), jaki to będzie zamek. A one komentują po swojemu i nikomu brak wspólnego języka nie przeszkadza.

Za to następnego dnia nasz synek zaskakuje mnie poczuciem odpowiedzialności. Układanka z samolotu, która była kością niezgody między braćmi (ach, to zmęczenie!), rano jest świetną wspólną zabawką. Michaś ustala, że Staś weźmie części czerwone i żółte, a on niebieskie i fioletowe. I okazuje się, że jak się młody człowiek wyśpi, to nawet nie musi być potworkiem. A gdy podchodzi do nich zaprzyjaźniony kotek hotelowy, Staś decyduje:

– Nie bawimy się układanką, bo kotek może połknąć!

Cóż za bystry koci tata!



Zabawa z miejscowymi dziećmi.

Trawangan można objechać rowerem dookoła albo wejść o wschodzie słońca na wzgórze, z którego doskonale widać pozostałe wyspy.

Tyle tylko, że tutejsze słońce rozleniwia. Jeszcze w dniu przyjazdu człowiek ma ambitne plany, które w miarę upływu czasu błędą i tracą na atrakcyjności. Jogging po plaży? Urocze, ale czyż nie milej jest po prostu pospacerować, wsłuchując się w szum fal? Chcesz spędzić popołudnie, pisząc listy do przyjaciół w kafejce internetowej? Można, ale przecież kiedyś wrócimy do domu i jeszcze będziemy ich zamęczać

WYSPA SZCZĘŚLIWYCH ŻÓŁWI

Przeplnięcie z Gili Trawangan na Gili Air jest banalnie proste.

Wystarczy udać się do portu i poczekać na łódź, która kursuje między nimi dwa razy dziennie. Nawet są podane jakieś godziny rejsów, ale czy w rajku można ufać zegarkowi? Bezpieczniej jest przybyć do portu wcześniej. Chłopcy umilają sobie czas najpierw meczem pustą butelką, a potem biorą się do indonezyjskich klocków, czyli stosu cegieł, który bardzo twórczo wykorzystują. Powstaje śmiała konstrukcja, którą jednak z żalem trzeba porzucić, by wsiąść do łodzi.



Mniejszą, szybką łodzią płyniemy na Gili Air.

Problem, gdzie zamieszkać, rozwiązuje się sam.

Na Gili Air jest tylko jeden hotel z basenem, a że woda w nim słona, więc jest zdecydowanie tańszy niż na Trawanganie. Bierzemy! Bo cóż z tego, że woda słona? Przypominam sobie, jak mój brat, mając sześć lat, godzinami nie wychodził z basenu w Nigerii, gdzie przez kilka miesięcy mieszkaliśmy (w Nigerii, rzecz jasna, a nie w basenie). I jak zdumiał wszystkich, gdy przepłynąwszy (bez okularków!) z otwartymi oczami pod wodą dwie długości, wynurzył się, obtarł twarz i spytał taty, czy jeszcze ma pływać pod wodą? Bo jakby co, to on chętnie! Stanowczo nie doceniamy możliwości naszych dzieci! Byleby za bardzo nad nimi nie kwoczyć, a zaskoczą nas nieraz swym podejściem do życia.



Nasz hotelowy basen.

Choć Gili Air jest spokojną wyspą, w pewnym momencie w naszym hotelowym basenie robi się tłoczno.

Grupa dwunastolatków uczy się podstaw nurkowania. Po chwili okazuje się, że to... zielona szkoła z Australii! Mają tu tak blisko, że w ramach nauki wyskoczyli do sąsiadów. Coś jak u nas wyjazd na narty na Słowację. Michaś jest w siódmym niebie, wszak nurkowie to bohaterowie jego marzeń! A gdy może dotknąć butli jednego z nich, po prostu puchnie z dumy. To jakby dotknąć bogów! Za to Staś pływa się godzinami i doskonalą skoki na bombę. Dla chłopaków życie stało się prostsze, od kiedy tu jesteśmy. Wprawdzie Krzyś jest rozczarowany, że wolą basen od rafy, ale w ich wieku to chyba zupełnie normalne. I pewnie dowolny hotel all inclusive nad Morzem Śródziemnym byłby dla nich szczytem szczęścia...



Jest kilka miejsc na plaży z paskami czarnego piasku, który stał się wielką atrakcją.



Widoki ze snorklowania! W akwarium by tyle ryb nie było.

Gdy koło nas przepłynął żółw, Michaś na migi pokazał mi, że chce go dotknąć. Kciuk w górę (wynurzenie) i już mu tłumaczę, że podstawowa zasada nurków brzmi: nie dotykać niczego pod wodą. Pominąwszy fakt, że żółw z całą pewnością odpłynie, nim się do niego zbliżymy. Zawiedziony Michaś kieruje kciuk w dół (zanurzenie) i prowadzi mnie w inną stronę. Skoro nie można żółwia dotknąć, zupełnie przestał go interesować. Dzięki temu, że nauczyliśmy go podstawowych znaków nurkowych, młody gada ze mną pod wodą, aż go ręce bolą. A po powrocie na brzeg woła do taty, że widział barakudę! Zaskoczył nas totalnie. I dopiero po chwili przypomnieliśmy sobie, że kilka dni temu pokazywaliśmy mu ją na straganie z rybami.



...musimy pomóc maluchom. Ceremonia wypuszczenia żółwi.

Na wyspach rytm życia odmierzają przyływy i odpływy przeplatane niekiedy świętami.

Pewnego dnia Krzysiek, będąc w wodzie, słyszy muzykę. To nie wpływ magicznych grzybów, lecz orkiestra prowadząca orszak ślubny! Pan młody w otoczeniu kolegów wygina śmiało ciało, prowadzona przez przyjaciółki panna młoda skromnie spuszcza wzrok ku ziemi. Krzysiek jest z kilometr od brzegu, więc woła do mnie „Aparaaaat!”, ale nie musi tak wrzeszczeć. Instykt fotografa bierze górę: porzucam dzieci na plaży (pocieszając się, że pewnie kelner w pobliskiej knajpce ma na nie oko), w biegu doczepiam lampę błyskową i lecę robić zdjęcia. Mija mnie odświętnie ubrana orkiestra i w tym momencie uświadamiam sobie niestosowność sytuacji: jestem boso, w koszuli zarzuconej na kostium, nie wypada dalej za nimi biec, zresztą przecież zostawiłam dzieci i sprzęt, trzeba wracać na plażę.



Orszak ślubny.

Wita mnie lekki kryzys (który to już dzisiaj?).

Michaś ma ranę pod nosem i zabolęło go od słonej wody, choć pewnie po prostu poczuł się niepewnie, gdy mama znikła. Z tej złości chlapnął brata, który też już ma usta wygięte w podkówkę..., ale na szczęście przychodzi zaprzyjaźniona para Francuzów z trzylatką i pięciolatkiem. Nic tak nie raduje dzieci jak spotkanie z rówieśnikami. Chłopcy biegają z nowymi przyjaciółmi, w pewnym momencie słyszę, jak mały Francuz powtarza za Stasiem: „biegaj”! Ich wspólny język to zabawa, choć zdają już sobie sprawę z tego, jak bardzo różny jest świat. Bo z nimi rozmawiam po polsku, z kelnerem po angielsku, a z tym małżeństwem po francusku.

– Mamusiu, a dlaczego ty mówisz różnymi głosami? – pyta Michaś wyraźnie zafascynowany lingwistycznymi talentami mamy.

Mnie zaś zdumiewa, ile pamięta z angielskiego. Czasem nagle coś mi mówi i dodaje, że uczył się tego w przedszkolu. W ogóle pięciolatek to wulkan pytań: kto mieszka na Księżycu, gdzie jest Słońce, jak śpi,

schować. Teraz rozumiem, co Katie miała na myśli, mówiąc o szkodach, jakie turyści mogą wyrządzić. Niewinna (jak mi się zdawało) pamiątka zabrana z plaży w postaci muszelki to w istocie pozbawienie kraba możliwości zamieszkania. Bo co prawda ja wzięłabym tylko jedną muszelkę, ale jeśli chłopcy też wezmą po jednej i mali Francuzi też po jednej, i rodzina Finów z naszego hotelu też weźmie kilka dla przyjaciół... W dobie masowej turystyki każde z naszych działań ma ogromny wpływ na otoczenie. Choć brzmi to nader patetycznie, jest niestety prawdą.



Łupiny kokosa? Nie! Statki z ładunkiem.

Co robić na wyspie, którą w godzinę da się obejść?

Możliwości jest mnóstwo. Może podarować sobie odrobinę luksusu? Za jedyne pięć dolarów pani wymasuje mnie tak, że przypomnę sobie o istnieniu wszystkich mięśni. Pani ma trójkę dzieci chodzących do szkoły na Lomboku, w pogodne dni widać jej rodzinną wyspę, ale wróci tam dopiero, gdy nadejdzie pora deszczowa i na koralowe wyspy

DEMONY W CYLINDRACH

Mocny uścisk dłoni: Welcome to Bali.

Putu, nasz kierowca i przewodnik, wita nas w porcie. Nie lubimy podczas podróży zależności, którą narzuca obecność obcej osoby, ale nie mamy wyjścia. Przemieszczanie się po Bali autobusami dla turystów przy czterech biletach nie będzie dużo tańsze od wynajmu auta (które daje jednak sporo wolności i wygody), pomysł zaś poruszania się bemo (jak nazywa się lokalny transport), cóż... Ten pomysł był niezły w Polsce. Na miejscu poglądy zmieniły się nam radykalnie. Wystarczyło zobaczyć takie bemo wypchane do granic możliwości, a nawet zdecydowanie je przekraczające, by wiedzieć, że z dziećmi lepiej tego nie próbować. Ostatecznie fajnie byłoby, gdyby podróże nie kojarzyły się im ze szkołą przetrwania.



Putu, Michał i nasz samochód.

Na szczęście Putu sprawia bardzo sympatyczne wrażenie.

Do tego zna angielski i może nam sporo opowiedzieć o codziennym życiu na wyspie. Choćby o swoich początkach w biznesie:

– Pierwszy raz to nie wiedziałem, jak jechać z Kuty do Ubud. I jechałem cztery godziny! „Cholerny kierowca, niech mały wozi”, krzyčili wściekli turyści! – Dziś wspomina to jako świetny żart, ale wtedy nie było mu do śmiechu. Hm, faktycznie, pokonanie 35 kilometrów w tym tempie to niezwykle wyczyn! Dobrze, że od tej pory poznał drogi wyspy na wylot.

– Putu, tu gdzieś jest taka wieś sztuki, artystów... – Nie mogę znaleźć kartki z notatkami.

– U nas każda wieś to artyści – uśmiecha się Putu.

– Tak, wiem, ale ona jest do zwiedzania, Ten... no jakoś tak się nazywa. Tengan? – Że też notatki giną zawsze wtedy, gdy akurat są potrzebne!

– Tenganan! Tak, właśnie do niej jedziemy!



Drogi na Bali.

Wymieniana w każdym przewodniku Tenganan to wioska rdzennej ludności Bali Aga.

Tyle że w opisach brzmi to znacznie lepiej, a rzeczywistość okazuje się nader prozaiczna. Każdy dom to sklep, na straganach piętrzą się stopy pamiątek. Drewniane jajka zdobią malunki smoka Baronga, scenki rodzajowe, żyrafy lub... Święty Mikołaj. Podobno ten ostatni świetnie się sprzedaje, zwłaszcza w grudniu. Może mamy ochotę na balijski kalendarz? A skąd jesteśmy? Polska? Tu mamy po polsku! I przed nami artysta rozwija listewki, z których w ojczystym języku mogę wyczytać, że sierpniem rządzi bóg zwierząt Sambu, a wrześnie bóg oddechu Pramana. A może pleciony koszycek? Albo malowany gekon? Na gekony nawet bym się skusiła, ale nim przekroczyliśmy bramy wioski, Putu obiecał nam, że zabierze nas do supermarketu z pamiątkami w Denpasar. Towar podobny, ceny kilka razy niższe. Jak to w sklepie dla miejscowych, a nie turystów.



Prawie w każdym domu jest warsztat i galeria połączona ze sklepem.

– Mama, patrz, kogut dla dziewczyn! – chłopcy są najwyraźniej przejęci nieoczekiwanym odkryciem.

Kogut dla dziewczyn? Rzut oka do wplecionej z bambusa klatki wyjaśnia wszystko. Kogut jest różowy! Odmieniła go nie tyle genetyczna anomalia, ile zwykły barwnik. Czy kogut w stylu Barbie ma jakiś sens? Tu zapewne tak. Walki kogutów są bowiem z entuzjazmem oglądane przez słynących z łagodnego usposobienia Balińczyków. Paradoks? Nie do końca, gdyż walczące ptaki w istocie są częścią religijnego rytuału, a krew zabitego ptaka wsiąkająca w ziemię symbolizuje pokonanie złego ducha. Dlatego też walki kogutów zobaczyć można niekiedy na świątynnych dziedzińcach, choć oficjalnie jako hazard są one zakazane przez indonezyjski rząd. Tylko jak odróżnić rozrywkę od ofiary? Bo być może nawet najłagodniejsi z ludzi czasem muszą dać upust niskim instynktom. W sumie pasuje to do

Zupełnie inny nastrój spotykamy w Klungkung.

To miejsce szczególne, gdyż w XVIII wieku przeniesiono tu stolicę wyspy i zbudowano królewski pałac. Niewiele się po nim zachowało, ale to, co przetrwało do naszych czasów, jest sztuką doskonałą. Która tu trafiła pod strzechy. Dosłownie. Oto bowiem jeden z pawilonów ma dach kryty strzechą właśnie, natomiast od spodu całe jego wnętrze wypełniają misterne malunki przedstawiające sceny z Mahabharaty. A ponieważ dzieło to jest dziesięć razy dłuższe niż Iliada i Odyseja razem wzięte, znalazł się tu jedynie maleńki wycinek opowieści. W towarzystwie doświadczonego przewodnika malunki ożywają. Oto Bima w krainie cieni szuka dusz swych rodziców, a niechętni śmiertelnikowi bogowie i demony wypowiadają mu wojnę. Wyraziste postacie zamarły w pół gestu, zwarte w nierozstrzygniętej od wieków walce.



Klungkung - pozostałości pałacu królewskiego.

Przed jedną z bram widzimy demony o szpetnie wykrzywionych twarzach.

Otoczone materiałem w biało-czarną kratkę, pod parasolami, na pierwszy rzut oka – typowe balijskie złe duchy. Tylko że te mają na głowach... cylindry. Wyjaśnienia należy szukać w historii. W czasach kolonialnych (czyli raptem sto lat temu) wyspę zawładnęli Holendrzy. Balijska królewska rodzina wolała rytualną śmierć (wraz z kapłanami, strażnikami, małżonkami i dziećmi) niż hańbę poddania się: w 1906 roku zginęło w ten sposób około tysiąca osób. Dwa lata później doszło do masakry miejscowej ludności przez europejskich żołnierzy. Nic więc dziwnego, że biały człowiek w cylindrze stał się tu uosobieniem diabła...



Demony w cylindrach.

A my tym skrupulatniej wyjaśniamy wszystkim, że jesteśmy Poland, not Holland (jako że w świecie nasze kraje z powodu podobnej wymowy są notorycznie mylone).

W jednym z budynków znajdujemy muzeum dynastii królewskiej, gdzie obok zdjęć z początku XX wieku umieszczono też obrazy

MLECZNYM ZĘBOM WSTĘP WZBRONIONY

– Czy ty czasem bijesz dziecko? – w głosie Putu, naszego kierowcy, brzmi wyraźne niedowierzenie.

Owszem, słyszał, że biali ludzie mają taki barbarzyński zwyczaj, ale w głowie mu się to nie mieści. Bo tutaj nikt nie krzyczy, nie używa przemocy, stąd dzieci nie mają pojęcia, że mogłyby się tak zachować. Spokój Balińczyków udziela się ich dzieciom. Nie bez znaczenia dla ich pociech też jest obserwacja otoczenia. Maluchy noszone na plecach widzą starsze rodzeństwo posłusznie wykonujące polecenia dorosłych. Zresztą zwykle nawet nie trzeba im mówić, co mają zrobić, bo będąc częścią rodzinnej społeczności, mają od wieków rozpisane role. Wiadomo, że trzeba przynieść wodę, ugotować posiłek, zebrać ryż z pola. Doglądać krów i zagonić na noc kury. I wiadomo, że część z tych prac należy do dzieci, a zakres obowiązków wyznacza ich status społeczny: im są starsze, tym większym zaufaniem można je obdarzyć. Z pewnością go nie nadużyją. Bunt dwulatka? Tutejsze mamy otworzyłyby szeroko oczy ze zdumienia, gdyby ktoś im powiedział, że to naturalny etap rozwoju. Tutaj bunt w żaden sposób nie jest naturalny, może dlatego, że Balińczycy od urodzenia żyją w harmonii ze sobą i światem.



...

Ale co ja mam powiedzieć Putu? Prawdę?

Przecież zdarzyło mi się kilka razy dać chłopakom klapsa, gdy miałam wrażenie, że już nic innego na nich nie podziała. I sama widziałam nieraz na placu zabaw wściekłą mamę, która tłukąc nieletnią pupę, cedziła przez zęby: „nie wolno bić innych, rozumiesz?”. Niby wszyscy wiemy, że bicie jest porażką wychowawczą, drogą na skróty wiodącą na manowce, ale większość z nas choć raz w życiu ulega pokusie przemocy wobec małego człowieczka.

– Wiesz co, Putu, jak już tak całkiem obaj szaleli, to czasem ich uderzyłam, by się opamiętali. A wy co robicie w takiej sytuacji?

Putu kręci głową z niedowierzaniem.

– My? No jak już widzimy, że nic nie dociera, to wtedy przyskamy wodą

na twarz. I to zawsze działa.

Hm, muszę spróbować tego następnym razem, choć mam wrażenie, że moim smykiem trzeba by wylać na głowy całe wiadro, by osiągnąć efekt... Okazuje się jednak, że jest jeszcze jeden miejscowy sposób na uspokojenie. Chłopcy uwielbiają warzywa, a ich największą miłością są ogórki. Kiedy więc widzimy przy drodze ciężarówkę z ogórkami, prosimy Putu, by kupił nam od razu z sześć. Chłopaki całe szczęśliwe dostają w garść obranego ogórka niczym maczugę i z lubością je objadają.

– Teraz to pewnie będą bardzo spokojni! – żartuje Putu.



Ogórki "spokoju" (chwilowego).

Spokojni?

Ale dlaczego? Po chwili wyjaśnia się, że na Bali jak ktoś zaczyna się nerwowo zachowywać, mówi mu się, by zjadł ogórka na uspokojenie.

Trzeba było kupić cały zapas z tej ciężarówki! Chociaż chyba działa to tylko na Balińczyków – chłopaki w połowie konsumpcji odkrywają, że z ogórka byłby świetny miecz i zaczynają się okładać. Gdzie woda?! Może to ich jakoś przywoła do porządku? Na pomoc przychodzi mi... tygrys.

Wielki, z pazurami i kłami, groźnie na nas patrzy zza krzaka.

– Chłopaki! Atakujcie tygrysa – postanawiam szybko skanalizować ich energię na innego przeciwnika.

Po chwili chłopcy bujają się na cementowym tygrysie pomalowanym w realistyczne kolory, a ja mam chwilę spokoju. I po raz kolejny okazuje się, że świątynia – choćby najpiękniejsza jak Ulun Danu na jeziorze Bratan – nie ma szans w konfrontacji z kiczem bliskim sercu dziecka. Tygrys górą!



Tygrys był OK, ale przegrał w atrakcyjności z chińskim smokiem.

LENIWA LOVINA

„All you need is love” – śpiewali przed laty Beatlesi.

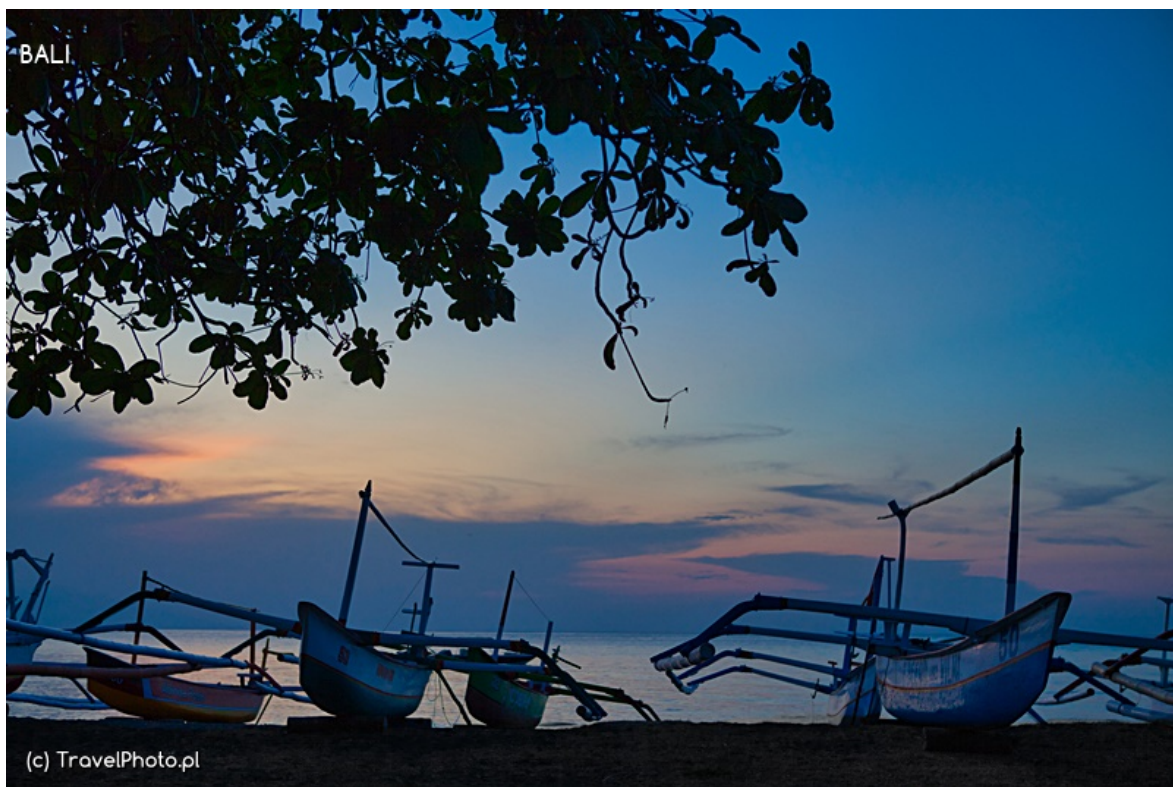
Wszystko, czego potrzebujesz, to miłość. Na Bali wiara w to była tak wielka, że nawet oryginalną nazwę kilku wiosek na północy kraju w latach sześćdziesiątych XX wieku zmieniono na Lovina. Trzeba przyznać, że ostatni radża Bulelengu wykazał się sporym marketingowym wyczuciem, któż bowiem spamiętałby nazwy: Kalibukbuk, Kalisasem czy Temukus? Lovina brzmi znacznie prościej, a do tego jak kusząco!



Lovina.

Przyjechalismy tu, by złapać chwilę oddechu.

Po kilku dniach zwiedzania widzimy, że chłopcom słabną baterie, potrzebują spokoju, nieco mniej wrażeń i rodziców na własność. Bo prawda jest taka, że podczas podróży nie odkładamy aparatów. I marny jest pożytek z mamy, która niby trzyma za łapkę, ale w najmniej spodziewanym momencie prosi, by chwilę postać z boku, bo właśnie ma piękny kadr. Albo jeszcze gorzej: prosi, by gdzieś tam iść, bo chce zrobić zdjęcie ze swym dzieckiem. Dziecię zaś właśnie w tym momencie najchętniej puszczałoby łódki z patyków albo siedziało na kolanach. Zatem gdy w końcu docieramy do Loviny, postanawiamy nieco zwolnić tempo. I od razu skreślamy z programu sztandarową atrakcję tego miejsca: spotkania z delfinami.



Plaża i port rybacki jednocześnie.

Każdego ranka z portu wyruszają łodzie z turystami chętnymi zobaczyć te niezwykle zwierzęta.

Ich samych jednak nikt nie pyta, czy mają ochotę na pływanie pośród spalin motorowych łodzi. Choć więc tutejsze wody są domem dla kilkuset delfinów, nie mają one łatwego życia. Przeciskać się w tłumie na łodzi, polując z aparatem? Odpuszczamy. Podobnie jak wizytę w delfinariu. Mało kto bowiem zdaje sobie sprawę, że dla delfinów takie miejsca są po prostu więzieniem. Jeśli się miało dla siebie cały ocean i przemierzało dziennie po sto kilometrów, nie zastąpi tego żadne ogrodzone miejsce, choćby z najładniejszymi kafelkami. Przekleństwem delfinów jest ich sympatyczny pysk, przez co wyglądają, jakby się cały czas uśmiechały. I nawet gdy umierają z tęsknoty za swą rodziną, nie przestają uroczo wyglądać. Jeśli dodać do tego, że podczas odławiania do delfinariów na każde schwyte zwierzę przypada śmierć kilkunastu innych, okazuje się, że niewinna z pozoru rozrywka jest w swej istocie mrocznym procederem...



Wejście do świątyni? Nie. Do naszego pokoju w hotelu.

Kierowcy składają ofiarę w stojących obok drzewa kapliczkach, a ci bardziej nowocześni robią sobie zdjęcie telefonem. Być może w tak wielkim drzewie faktycznie mieszkają potężne bóstwa opiekuńcze, lepiej zatem z nimi nie zadzierać! Na wszelki wypadek powstrzymuję chłopców przed wspinaczką, za to pozwalam im pobiegać w środku i sprawdzić, czy jest echo. Nie ma? To ruszajmy dalej!



Wielkie, święte drzewo - brama.

Buddyjska świątynia w Azji to widok tak powszechny, że nie zwraca niczyjej uwagi.

Jednak na Bali, w świecie tutejszych rozlicznych bogów, buddyjski klasztor jest unikalnym miejscem. Aśram Brahma Arama Vihara wita nas niewielką stupą oraz schodkami wiodącymi ku górze niczym ku oświeceniu. Oraz tabliczką: „Cisza medytacyjna”. Hm, coś mi się wydaje, że w naszym zespole mamy co najmniej dwie osoby, które

MAŁPIE FIGLE

Jestem wściekła jak nietoperz. Miało być pięknie.

W końcu jesteśmy w Ubud, dawnej królewskiej stolicy słynącej ze wspaniałego rękodzieła. Tymczasem nasz hotel, choć drogi (za pokój płacimy 70 dolarów!), ma spa w formie... betonowego baraku oddzielonego tandetnymi ściankami. Gdy już mi nerwy odpuściły, sama sobie się dziwię, jak szybko przyjąłam wszechobecne tu piękno za obowiązujący kanon. Układane z kwiatów wzory i wyszukane dekoracje spotyka się tu co krok. Gdy zatem trafi się coś tak brzydkiego jak betonowy baraczek, jego szpetota przez kontrast z otoczeniem jest wręcz fizycznie bolesna. A do tego jakiś niefrasobliwy człeczyna zostawił butelkę z fioletowym płynem w zasięgu dzieci. No i stało się to, co się stać musiało. Chwila nieuwagi i mamy dziecięcęczka w kolorze egzotycznych ptaków. Jak nic czeka je teraz godzinne odmakanie w wannie z pianką, bo przecież nie pokażę ich światu w tym kolorze. Do tego okazało się, że Michaś specjalnie podpuścił Stasia, licząc na to, że jak się sprawa wyda, to on nie dostanie kary. Nie ma wyjścia, stosuję zbiorową odpowiedzialność i przez chwilę mam nadzieję, że nie będzie dalszych głupich pomysłów. Ale czy to na długo wystarczy?

zalewa istny potop, na szczęście drzewo prawie nie przepuszcza deszczu. Kilkanaście minut i niebo znowu się rozjaśnia. Ostatnie krople błyszczą jeszcze przez chwilę niczym diamenty, z wolna unieściewane upałem. Skryte między drzewami kamienne warany odprowadzają nas obojętnym wzrokiem, gdy idziemy do świątyni Durgi. Bogini śmierci często jest przedstawiana pod postacią złowrogiej wdowy-wiedźmy Rangdy, zatem lepiej uwagę chłopców skierować na kamienne płaskorzeźby przedstawiające walkę stada małp ze złym wężem.



Ubud - Monkey Forest.

Małpi Las to nie jedyna atrakcja Ubud.

Wokół miasta widać dziesiątki warsztatów, w których pochyleni nad kawałkami drewna rzeźbiarze wyczarowują dłutami baśniowy świat piękna. Nawet targ z pamiątkami wygląda niczym galeria sztuki pod gołym niebem. Na straganach piętrzą się niezliczone rzeźby, tkaniny i maski. Jedne przypominają ludową sztukę naiwną, inne są wykonane z taką precyzją, jakby artysta postanowił stworzyć dzieło życia. To właśnie na takim stoisku przepadliśmy z kretesem. Bo choć wiele masek już widzieliśmy, te są genialnej jakości. Okazuje się, że

sklepiarz jest jednocześnie ich twórcą. I swą sztukę wycenia na 200 dolarów. To naprawdę niedużo, w europejskiej galerii trzeba by za to zapłacić kilka razy więcej, ale przecież jesteśmy w Azji! Tu wręcz nie wypada tak od razu zapłacić. Zaczynamy długi rytuał targowania się, a że jesteśmy tu przez kilka dni, cena co dzień spada o kilka dolarów. On już wie, że na pewno tę maskę kupimy, my wiemy, że jego praca jest warta tej ceny. Wreszcie uznajemy, że dłużej targować się nie wypada. Za 140 dolarów stajemy się posiadaczami wspaniałej maski i... problemu, jak ją przewieźć do Polski?



Maska którą kopiliśmy i jej autor.

Krzysiek jest mistrzem pakowania, jednak do szczęścia potrzebuje taśmy klejącej i kartonu.

Dostaję delegację (jako ta, która mówi różnymi głosami i na pewno się dogada) i wyruszam na poszukiwania. I chociaż na targu jest

dosłownie wszystko – taśmy nigdzie znaleźć nie mogę, zwłaszcza że chyba nikt nie rozumie, czego szukam. W końcu zlitował się nade mną jakiś młody człowiek znający lepiej angielski i okazało się, że no problem – taśma jest na co drugim straganie! Jakim cudem nie widziałam jej wcześniej? Przez walkie-talkie odnajduję resztę rodziny w królewskim pałacu. A gdy do nich docieram, mogę po raz kolejny się przekonać, że inwestowanie w podróże dzieci, by rozbudzić w nich miłość do sztuki, to kiepski pomysł. Spośród rzeźb, ogrodów i pawilonów największe wrażenie zrobiła na nich... śmietniczka z połówki kanistra. Oraz kosz na śmieci wycięty w oponie. Życie po życiu rzeczy codziennych okazało się znacznie ciekawsze niż siedziba władców.



Na ulicach Ubud.

TANIEC DLA BOGÓW

**– Moja córka jest za gruba. Nie nadaje się do nauki legong –
wzdycha taksówkarz w przyływie nieoczekiwanej szczerości.**

Cóż to za niezwykły kraj, gdzie największym zmartwieniem taksówkarza nie jest wyciągnięcie pieniędzy od turysty, ale żal nad niedoskonałą figurą córki? Ach, ci bogowie! Skoro całym życiem staramy się was zabawić, byłoby wspaniale, gdybyście mogli spojrzeć łaskawym okiem na nasze starania. Ale z legong sprawa nie jest taka prosta: tu główną rolę tańczy najwyżej dziesięcioletnia dziewczynka, której ciało musi być bez skazy. Idealna figura, wyraziste rysy i duże oczy to podstawowy warunek. Już kilkuletnie dziewczynki uczą się tego tańca, przy czym nauczycielem jest zawsze ktoś z rodziny.

BALI



(c) TravelPhoto.pl

Dziewczynka tańcząca taniec legong.



Barong.

„Maski mają wielką moc – tłumaczył nam na targu ich rzeźbiarz – gdy tancerz zakłada maskę, ona zaczyna nim kierować”.

Po czym, jakby na potwierdzenie swych słów, zdjął ze ściany maskę małpy, przyłożył ją do twarzy i w tym momencie dosłownie stał się małpą. Jego ruchy, gesty, nawet spojrzenie widocznych pod maską oczu należały do zwierzęcia. A teraz na scenie widzimy popis małpich figli, które nagle przerwało pojawienie się złej Rangdy. Przy niej europejskie czarownice to grzeczne dziewczynki. Balijskie uosobienie hinduskiej bogini Durgi już na pierwszy rzut oka niesie ze sobą śmierć i zniszczenie. W płaszczu długich białych włosów, z płonącym językiem, naszyjnikiem z ludzkich wnętrzności i dłońmi zakończonymi długimi pazurami jest wcieleniem prawdziwego zła.



Układ tancerzy przez większość tańca. W tle kapłan błogosławi.

– Kecak, kecak, kecak!

– Mężczyźni położyli się na sobie, tworząc wielkie koło ciał kołyszących się w rytm skandowanych w transie słów. Między nimi pojawiają się dwie młode dziewczyny ze świeczkami w dłoniach. Po chwili na scenę wkracza Garuda – bóg o ptasiej twarzy i barwnych skrzydłach. Dziewczeta pogrążone w transie układane są na kolanach kobiet, kapłan spryskuje ich twarze, z boginek stają się znowu śmiertelnymi istotami. Czuję bezradność niewiedzy wobec zawłości znaczeń i relacji tutejszych bóstw, co gorsza, czuję też bezradność wobec dwóch chłopców, którzy za nic mając duchowe przeżycia matki, błyskawicznie ściągają mnie na ziemię gromkim „jeść!”. Wyciągam z tajnej kieszonki zapas na czarną godzinę (wszystko się zgadza: noc czarna, a godzinę na pewno już tu jesteśmy), wydaję po cukierku i herbatniku. A także obiecuję, że zaraz zobaczą coś bardzo, ale to bardzo niezwykłego.

Synkowie wietrzą podstęp mający jedno na celu – ich uspokojenie, ale czeka nas jeszcze jeden pokaz.



Powoli taniec się kończy i bardzo skomplikowana historia.

Gdy tancerze schodzą ze sceny, dwóch pomocników kapłanów rozpala na ziemi wielki ogień.

Rozgarniają żar mieniący się niczym magiczny dywan. Zza świątynnej bramy wybiega mężczyzna. Balijski lajkonik z powiewającymi złotymi wstążkami przyczepionymi do drewnianej głowy konia, nie bacząc na nic, wskakuje wprost na ogień.



Ten ogień naprawdę parzy. Czuć żar siedząc daleko.

Przebiega go z uśmiechem raz za razem, jakby spacerował po łące, a nie parzących węglach. Podobno, gdy wpadnie się w trans, chodzenie po żarze nie jest ani trochę niebezpieczne, choć trudno mi to sobie wyobrazić. Po zakończonym tańcu mężczyźni sadzają tancerza, który nieprzytomnym wzrokiem patrzy dookoła. Z pewnością był w transie, ale zwęglone podeszwy jego stóp są dowodem, iż od dawna zajmuje się fire dance i chyba tak całkiem bezbolesne to jednak nie jest. Tymczasem nasze dzieci zebrały resztki łupin kokosa i podsycają własne ognisko. Oby tylko nie przyszło im do głowy zacząć po nim biegać! Ich sandały – bez względu na stopień transu nieletnich właścicieli – na pewno tego nie wytrzymają.

BALI



(c) TravelPhoto.pl

Te stopy nie kłamią.

EPILOG

Wróciliśmy do Polski wraz z pierwszymi przymrozkami.

Choć w naszym domu jest dość ciepło, to w łazience – raczej rześko. Tymczasem Michaś bardzo chce się kąpać teraz, już, natychmiast. Tłumaczę mu, że najpierw muszę nagrzać.

– A w ciepłych krajach to można się kąpać od razu – stwierdza nadąsane dziecię.

– Mama, a dlaczego my nie możemy mieszkać w ciepłych krajach?

No właśnie – dlaczego? Ech! Mieszko i dawni władcy Polski, trzeba wam było myśleć perspektywicznie o poszerzaniu granic w kierunku Morza Śródziemnego, a nie pchać się na wschód... Ale zaraz, kto powiedział, że nie można by wraz z bocianami polecieć na zimę w cieplejsze zakątki globu?

„A może wpadniecie na Bali na dłużej? – taki mail brzmi nader kusząco.

Tutaj w międzynarodowych szkołach popularne są drop in classes, czyli zajęcia przez tydzień czy dwa dla tych, którzy są na krótko. I to zarówno dla przedszkolaków, jak i gimnazjalistów. Można przyjechać, jak chłopcy skończą przedszkole. W międzynarodowej szkole Pelangi w Ubud (Pelangi znaczy tęcza, co jest oczywiście symbolem wielu ras, kultur i języków) przez cały rok do klas dołączają dzieci, których rodzice przyjeżdżają na Bali na jakiś czas. Za każdym razem mówią, że było to superpozytywne doświadczenie dla ich dziecka.



...

Pomieszkać z dziećmi dłużej w egzotyce?

Biorąc pod uwagę koszty na miejscu, wyjdzie taniej niż w Polsce! Tyle tylko, że trzeba byłoby trochę czasu poświęcić na szkołę, ale przecież jest to jak najbardziej możliwe.



...

Tymczasem ze zdumieniem odkrywam, jak wiele chłopcom z tej wyprawy pozostało w główkach.

Przed snem oglądamy książeczkę o morzu. Na rysunku dzieje się tak wiele: dzieci bawią się na plaży, budują domki z piasku, łowią rybki...

– Mama, ale dlaczego on wyjął z wody rozgwiazdę? Przecież tak nie można! – Michaś jest autentycznie zbulwersowany widokiem chłopca niosącego w sieci żywe morskie stworzenie.

– Wiesz co, może pan rysownik nie wiedział o tym. – Jak dziecku wytłumaczyć ludzką bezmyślność?

Bo przecież nawet szkoły nurkowe potrafią się reklamować uroczym zdjęciem nurka trzymającego rozgwiazdę. Cała nadzieja w przyszłym

GALERIA

Wyspa Bali jest tak bogata w ciekawe miejsca, tyle ich widzieliśmy, że trudno wszystko opisać. Dlatego na koniec dodajemy galerię zdjęć by pokazać jeszcze kilka niezwykłych miejsc.



Na łuku skalnym wychodzącym w ocean świątynia Tanah Lot Batu Bolong.



Krajobraz wnętrza wyspy.



Chłopcy ubrali tatę w węża - świątynia Alas Kedaton.

BALI/GILI Z DZIECKIEM

JAK SIĘ TAM DOSTAĆ

Przynajmniej na dwa sposoby. Pierwszy to polecieć z Warszawy do Denpasar bezpośrednio. Lata Turkish Airlines lub Emirates. Może znajdziecie wolne miejsce w czarterach. Drugi sposób, który myśmy wybrali to polecenie do któregoś z wielkich hubów lotniczych już w Azji. My wybraliśmy Singapur. Tu spędziliśmy cudowny czas (mnóstwo atrakcji dla dzieci) kupując jednocześnie za niewielkie pieniądze bilety na Bali.



...

NA MIEJSCU

W Indonezji wizę na pobyt dostaniesz na lotnisku w ciągu 15 minut za 500 000 IDR.

Pora sucha trwa od maja do września, pora deszczowa – przez

pozostałe miesiące. Na szczęście ulewy, choć intensywne, trwają krótko.

Podróżując na miejscu, do dyspozycji masz bemo (lokalne busiki, bardzo tanie i bardzo zatłoczone) lub autobusy dla turystów (kilkakrotnie droższe, ale za to bez tłoku). My wynajmowaliśmy samochód z kierowcą.



...

SZKOŁA POD PALMĄ

Jeśli marzy ci się dłuższy pobyt na Bali, a twoja pociecha chodzi już do szkoły, możecie szkołę zabrać ze sobą! Szkoła online umożliwia polskim dzieciom kontynuację nauki za granicą, dzięki czemu po powrocie nie mają zaległości i mogą przejść z kolegami do następnej klasy. Warto też wykorzystać pobyt na naukę angielskiego – najlepiej w gronie rówieśników. Międzynarodowe szkoły na Bali prowadzą drop in

SKLEP INTERNETOWY AUTORÓW



Namib.pl

- * pamiątki
- * zabawki
- * akcesoria
- * repelenty
- * rękodzieło
- * biżuteria

NASZE KSIĄŻKI DLA DZIECI:



Dla Ciebie
i dla domu!

SERIA EBOOKÓW "Z dzieckiem w podróży"



[Zapraszamy do naszego sklepu!](#)

Strona redakcyjna

(c) Tekst i zdjęcia: Anna Olej-Kobus i Krzysztof Kobus

(c) Projekt i skład ebooka: Krzysztof Kobus

Wydawnictwo: TravelPhoto - www.TravelPhoto.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-965408-3-6

ISBN 978-83-965408-3-6



Ebook dostępny w formatach: EPUB, MOBI

Sprzedaz: Sklep internetowy NAMIB.pl oraz wszystkie dobre platformy sprzedające e-booki.

Code: *B5786fhdgy7958y2B9889njg

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, udostępnianie w internecie, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych - tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

TravelPhoto.pl